

Leśni ludzie czy leśni mordercy?

Przeczytałem niedawno znaną (i niestety lubianą) opowieść Marii Rodziewiczówny „Lato leśnych ludzi”, wydaną po raz pierwszy w roku 1920. Korzystałem z wydania Iskier z roku 1974, z którego pochodzą cytowane niżej fragmenty, wyróżniane kursywą.

Tak oto się zaczyna ta książeczka:

O starodawnym, bo jak bór odwiecznym, rodzie mowa tu będzie. Ma on przodków we wszystkich wiekach i tradycję we wszystkich szczepach ludzkości; boć nie ród to ciała, lecz duszy, nie ród lasu mieszkańców, lecz lasu miłośników, przyrody czcicieli.

Ich duszę miał, z ich rodu był, słońca miłośnik i śpiewak, ptasząt i ryb kaznodzieja, wszelkiego stworzenia przyjaciel, seraficki święty Franciszek.

Jak można porównywać opisanych w książce zwyrodnialców, nazywając ich *miłośnikami i czcicielami przyrody*, do świętego Franciszka, *wszelkiego stworzenia przyjaciela*, który nawet z wilkiem rozmawiał? Logika i etyka autorki jest dla mnie nieodgadniona.

Książka ukazała się w 1920, prawie 100 lat temu. A co, dzisiaj już nie ma miłośników-zbrodniarzy?

Dzień chytrego Rosomaka

ss. 51-65

Rosomak to wódz wyprawy, najbardziej leśny z leśnych ludzi. *Ze wszystkich stworzeń leśnych najmilsze mu były ptaki, i te obserwował i badał z amatorstwem.*

Nie tylko obserwował i badał. Zabijał i wypychał nawet pisklęta. Tutaj wymordował rodzinę puchaczy.

ss. 58-59

Gdy przystanął, szukając możliwej szczeliny, nagle na sośnie, tuż za nim, zaszczekał pies. Rosomak instynktownie za pień się cofnął i spojrzał w górę.

Na konarze, obok siebie, siedziały dwie nieruchome, wielkie, bure postacie. Patrzyły na niego dwie pary jakrawopomarańczowych, okrągłych oczu, mrugając; i te twarze starych skąpców czy zbrodniarzy wykańczał na typ zbójcki czarny, potężny, zagięty nos-dziób.

Bez ruchu i głosu człowiek i para wielkopańskich rycerzy-rabusiów patrzeli na siebie.

Zrozumiał Rosomak ciszę i pustkę tego ostępu. Panowała tu burga tyrana-bandyty w pióropuszu na głowie. Zniszczył życie wokół, wymordował wszystko i królował, i władał, mocarz siły nad prawem.

– Tuś mi, krzyżacka wywłoko! – warknął zajadle Rosomak. – Tuś mi, herbowy rakarzu, kacie leśnego stworzenia, bezbożniku możny, tyranie słabych, cichych i spokojnych! Teraz na cię sąd i prawo! Teraz na cię kres! Słyszałem nieraz w nocy twe krwawe hasło i jęk ofiar i szukam cię już lata. Aż mnie tu przyprowadził opiekun pomordowanych ptasząt, byś za żywot łotrowski gardło dał. Ostatnia to twoja noc!

„Miłośnicy przyrody” wprowadzają pokój (ss. 62-64)

Wziął Rosomak strzelbę, założył naboje i z gotową do strzału ruszył. Podkradli się bez szelestu. Wtedy lufę podniósł w górę, a oni za nim poszli wzrokiem.

– Mnisze plemię grabicieli, zbójów! – szepnął.

– Junkier Eduard i Kunigonda! – dopowiedział Żuraw.

– Bić, wodzu! – warknął Pantera.

Strzał padł, po sekundzie drugi. Eduard gruchnął z gałęzi, jak gromem rażony, Kunigonda miała tylko czas skrzydła rozwinąć i zawisła na nich już martwa w świerkowej gęstwinie.

– To był dubelt mistrzowski! – zawołał Pantera.

– Kiedyś, gdy byłem głupi i myślałem, że wolno zabijać, uchodziłem za dobrego strzelca! – rzekł Rosomak, stawiając strzelbę pod drzewem. – Ale dzisiaj nie zabijałem, tylko spełnił wyrok. Na zasadę siły przed prawem przychodzi dzień sądu i wypłaty. Niech mi las potwierdzi, że mam prawo mściciel! A teraz szukajmy gniazda!

– Na ziemi?

– Odrowąż mi mówił, że się gnieździ byle gdzie: na pniaku, na kępie, przy pniu. Zresztą poznamy po trupiarni. Patrzcie, co tu piór i kości. O, zielone czapki kaczorów, resztki czajczych czubków, cietrzewie, lirowate sterówki. A ot, świeżutki zając marczak. Słyszałem jego śmiertelny jęk tej nocy. Weselniki barwne, kraśne, młode, oszalałe wiosną i miłością, tu łupem były nienasyconego obdziercy, żarłoka,

grabiciela. Wszystko grozą swych szpon jarzmił i pożerał. Toć ten jego ostęp – to cmentarzysko całej puszczy. Nikt nie miał prawa do życia i bytu, tylko on.

– Wodzu, tu na świerku jest jakaś kupa gałęzi, ale ja się nie wdrapię! – zawołał Pantera z gąszczu. Poszedł Rosomak między obwisłe gałęzie i z trudem przeciskał się ku górze.

– A jakże, stare orłowe gniazdo zagrabił i swój przeklęty lęg umieścił. Jest troje młodych. Jeszcze białe, ledwie wyklute, a już kłapią szczękami i w rękę mnie dziobią. Może żywcem wziąć i wychować na niewolników?

A wtem spod świerka rozległ się żaloszny okrzyk Pantery:

– O zbrodniarz! Toć tu leży skórka z naszego Tupcia!

– Co znowu! – zawołał Żuraw. – Alboż jeden jeż w lesie. Pokaż, ja poznam. Gdym mu nóżkę opatrywał, musiałem jeden pazur obciąć.

Zamilkł, więc Rosomak spytał:

– No i co?

– Tak! Nie ma naszego Tupcia! – odpowiedział Żuraw, a Pantera rozjuszony krzyknął:

– Nie żywić przeklętego płodu! Łby im pokręcić!

Rosomak cisnął na ziemię gniazdo i lęg.

– Sczeźnijcie do ostatniego! – warknął.

Leśny człowiek spełnił odwet puszczy.

Chyba wystarczy. Malownicze opisy mordowania małych rysiątek (skórki na piękną czapeczkę) oraz zatłukiwania żmii pominę.